



ALEKSANDER DUMAS

*Dama  
kameliowa*

*Dama  
kameliova*



ALEKSANDER DUMAS

# *Dama kamelkowa*



Tytuł oryginału: ***La dame aux camélias***

Redakcja tekstu na podstawie anonimowego tłumaczenia (Warszawa 1910):

**Katarzyna Ziola-Zemczak**

Korekta: **Monika Wróbel**

Opracowanie graficzne: **Jacek Bronowski**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Anna Witwicka**

Ilustracje na okładce | Dreamstime.com:

© Andrey Kiselev, © Olga Lepeshkina, © Zhenglong8614, © Inna Feshchyn

© Copyright for the text, cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2022

Warszawa 2022



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.

ul. Sułkowskiego 2/2

01-602 Warszawa

[www.wydawnictwosbm.pl](http://www.wydawnictwosbm.pl)

ISBN 978-83-8222-039-1

# Spis treści

|             |     |
|-------------|-----|
| I .....     | 7   |
| II .....    | 12  |
| III .....   | 17  |
| IV .....    | 22  |
| V .....     | 28  |
| VI .....    | 34  |
| VII .....   | 40  |
| VIII .....  | 48  |
| IX .....    | 54  |
| X .....     | 62  |
| XI .....    | 71  |
| XII .....   | 79  |
| XIII .....  | 85  |
| XIV .....   | 93  |
| XV .....    | 101 |
| XVI .....   | 107 |
| XVII .....  | 114 |
| XVIII.....  | 120 |
| XIX .....   | 126 |
| XX .....    | 131 |
| XXI .....   | 136 |
| XXII .....  | 142 |
| XXIII ..... | 148 |
| XXIV .....  | 155 |
| XXV .....   | 164 |
| XXVI .....  | 170 |
| XXVII ..... | 181 |



# I

Jestem przekonany, że nie można stworzyć żadnej postaci, jeśli nie poznało się dobrze ludzi, podobnie jak nie można mówić jakimkolwiek językiem bez jego uprzedniej nauki.

Nie jestem jeszcze w wieku, kiedy się tworzy — zadowolam się więc opowiadaniem.

Upprzedzam jednak czytelników o prawdziwości tej historii, której wszystkie osoby — z wyjątkiem bohaterki — żyją dotąd.

W Paryżu są jeszcze świadkowie większej części faktów, które tu zebrałem, a którzy, w razie gdyby moje świadectwo nie wystarczyło, mogą je potwierdzić. Dziwnym zbiegiem okoliczności ja tylko jeden mogłem o nich pisać, gdyż tylko ja sam poznałem pewne szczegóły, bez których nie sposób skreślić zajmującej opowieści.

Oto jak poznałem te szczegóły. Dwunastego marca 1847 roku spostrzegłem przy ulicy Laffitte ogromny żółty afisz, który donosił o sprzedaży mebli i przedmiotów zbytku. Sprzedaż następowała wskutek śmierci. Na afiszu nie widniało imię i nazwisko zmarłej osoby, lecz sprzedaż miała się odbyć przy ulicy d'Antin pod numerem dziewiątym szesnastego marca od południa do piątej wieczorem.

Prócz tego afisz donosił, że w dniach trzynastego i czternastego można zwiedzić mieszkanie i zobaczyć meble.

Od zawsze lubiłem wszelkie osobliwości. Przyrzekłem sobie nie odpuścić tej okazji, jeżeli nie dla kupienia czegoś, to przynajmniej dla obejrzenia.

Nazajutrz udałem się na ulicę d'Antin pod numer dziewiąty.

Było jeszcze dość wcześnie, a w mieszkaniu już przebywało wiele osób obojga płci: ubrane w jedwabie i kaszmiry kobiety, na które przed domem czekały eleganckie pojazdy, oglądały ze zdumieniem, a nawet z uwielbieniem, przedmioty zbytku znajdujące się przed ich oczami.

Później zrozumiałem to uwielbienie i zdumienie, gdyż po wnikliwym przyjrzeniu się łatwo poznałem, że znajduję się w mieszkaniu kobiety utrzymywanej. Wreszcie, jest jedna rzecz, którą kobieta światowa pragnie zawsze widzieć — a były tutaj kobiety z wielkiego świata — to jest, jak wygląda prywatne mieszkanie tych dam, które na co dzień je przyćmiewają, a które mają podobnie jak i one swą lożę w Operze i w Teatrze Włoskim i które słyną w Paryżu ze swej piękności, swych klejnotów i skandali...

Ta, u której się znajdowałem, niedawno zmarła. Najuczciwsze więc kobiety mogły wnikać aż do wnętrza jej mieszkania. Śmierć oczyściła powietrze tej świetnej kałuży, a zresztą, jeśliby zaszła taka potrzeba, mogły się wymówić, że przyszły na licytację, nie wiedząc, do kogo przychodzą. Czytały afisz, chciały obejrzeć to, o czym on mówił, i wybrać coś sobie, co im wcale nie przeszkadzało poszukiwać pośród tych cudów rysów tego życia zalotnicy, o której im bez wątpienia opowiedano tyle dziwnych rzeczy.

Na nieszczęście tajemnica umarła wraz z boginią, i pomimo szczerych chęci damy te znalazły tylko to, co było do sprzedania po zgonie, a nie to, co się sprzedawało za życia lokatorki.

A było w czym wybierać! Wyposażenie mieszkania było luksusowe. Meble z różanego drzewa, wazy z serwskiej i chińskiej porcelany, statuetki z saskiej; jedwabie, zasłony, adamaszki — niczego tu nie brakowało!

Przechadzałem się po mieszkaniu, z ciekawością śledząc damy idące przede mną. Weszły one do pokoju obitego perską makatą i już i ja miałem tam wejść, gdy one natychmiast stamtąd wyszły z uśmiechem, jak gdyby się wstydziły swej ciekawości. Zapragnąłem jak najprędzej dostać się do tego pokoju. Był to buduar przepelniony wszystkimi tymi szczegółami, w których rozrzutność zmarłej kobiety osiągnęła, zdaje się, najwyższy stopień.

Na wielkim stole stojącym pod ścianą, długim na sześć, a szerokim na trzy stopy, świeciły wszystkie skarby od Aucoca i Odiota. Była to wspaniała kolekcja, a żaden z tysiąca tych przedmiotów, tak potrzebnych do toalety kobiety takiej jak ta, u której byliśmy, nie był z innego metalu, jak tylko ze złota lub srebra. Zbiór ten mógł tylko powoli się rozrastać, a niejedna miłość do tego się przyczyniła...

Co do mnie, obznajmiony z buduarami tego rodzaju, bawiłem się badaniem tych drobnostek i spostrzegłem, że wszystkie one, drobiazgowo i perfekcyjnie wykonane, nosiły na sobie różne znaki i rozmaite korony.

Patrzyłem na nie — a każdy przedmiot przypominał mi prostytutkę biednej dziewczyny — i mówiłem sobie, że Bóg był dla niej łaskaw, nie karząc jej zwyczajnie, to jest, że pozwolił jej umrzeć wśród zbytku i piękności, jeszcze przed nadejściem starości, tej pierwszej śmierci zalotnicy.

I w rzeczy samej, cóż smutniejszego nad widok pierwszych oznak starości u tego typu kobiety? Traci ona wówczas godność i przestaje budzić zainteresowanie. Ten wieczny wyrzut, nie tego, że szła złą drogą, lecz tego, że źle liczyła, że źle używała pieniędzy, jest najboleśniejszą rzeczą, o jakiej można słyszeć. Znałem pewną prostytutkę, której nic nie pozostało z przeszłości, oprócz córki równie ładnej, jeśli można wierzyć jej współczesnym, jak matka. To biedne dziecko, do którego matka mówiła „jesteś moją córką” tylko wtedy, by jej rozkazać, by żywiła ją w starości, podobnie jak ona żywiła ją w dzieciństwie, miało na imię Ludwika. Dziewczyna była posłuszna swej matce, poszła w jej ślady pomimo woli, bez namiętności, bez przyjemności, jak gdyby to było jej rzemiosłem, o którego nauczaniu jej nikt nie pomyślał... Ciągły widok grzechu, grzechu bezustannego, podsycanego chorobliwym stanem tej dziewczyny, zgasił w niej świadomość złego i dobrego, którą w nią może Bóg wszczepił, a której nikt nie rozwinął.

Przypominam sobie zawsze tę młodą dziewczynę, włóczącą się prawie codziennie o tej samej godzinie po bulwarach. Matka towarzyszyła jej ciągle i z taką pilnością, jak prawdziwa matka towarzyszy prawdziwej swej córce. Byłem wówczas bardzo młody i gotowy do przyjęcia wątpliwej moralności mej epoki. Przypominam jednak sobie, że widok tego bezwstydnego czuwania budził we mnie niesmak i pogardę.

Trzeba przyznać, że na żadnej innej dziewczęcej twarzy nie widziałem podobnego wyrazu niewinności i melancholijnego cierpienia. Powiedziałbyś: posąg rezygnacji...

Pewnego dnia twarz dziewczyny rozjaśniła się. Wśród grzechu, którego program przepisywała matka, zdawało się jej, że Bóg pozwolił jej na szczęście. Bo dlaczego by też Bóg, który ją stworzył bezsilną, miałby ją zostawić bez pociechy, wśród ciężaru bolesnego życia? Pewnego więc dnia spostrzegła, że zostanie matką, i wszystko, co było jeszcze w niej czystego, zadrżało z radości. Dusza ma dziwne tajemnice. Ludwika pobięła do matki z wiadomością o swym szczęściu. Wstyd to wyznać, a przecież nie tworzymy tutaj niemoralnych faktów dla przyjemności, mówimy prawdę, o której lepiej by było zapewne milczeć, gdybyśmy nie byli

przekonani, że trzeba od czasu do czasu zwrócić uwagę na męczeństwo tych istot, które potępiają bez wysłuchania, którymi gardzą bez sądu. Straszne to — przyznajemy — lecz matka odrzekła córce, że nie wystarcza dla nich dwóch na życie, a coś dopiero dla trojga, że podobne dzieci są najmniej potrzebne i narażają tylko na stratę czasu.

Nazajutrz lekarka, a przyjaciółka matki, przyszła do Ludwika, która przeleżała kilka dni w łóżku i wstała z niego jeszcze bledsza i słabsza niż dawniej.

Trzy miesiące później pewien człowiek ulitował się nad nią i zaczął leczyć ją moralnie i fizycznie — lecz ostatni cios był zbyt gwałtowny i Ludwika wkrótce umarła...

Matka jeszcze żyje. Jak? Bóg to wie!

Historia ta przypomniła mi się w chwili, gdy przeglądałem te kosztowne drobiazgi i dość dużo czasu musiało upłynąć na mej zadumie, gdyż prócz mnie i pilnującego nie było już nikogo w pokoju. Ten ostatni, stojąc w drzwiach, pilnie patrzył, czy czego nie wziąłem.

Zbliżyłem się do tego człowieka, w którym obudziłem tyle niepokoju.

— Czy nie mógłby mi pan powiedzieć, jak się nazywała ta dama, która tu mieszkała? — zapytałem go.

— Panna Małgorzata Gautier.

Znałem tę dziewczynę z nazwiska i widzenia.

— Jak to! — zawołałem. — Małgorzata Gautier umarła?

— Tak, proszę pana.

— Kiedy?

— Zdaje się, że przed trzema tygodniami.

— A dlaczego pozwalają oglądać jej mieszkanie?

— Dłużnicy sądzą, że to podniesie cenę rzeczy. Publiczność może sobie najpierw obejrzeć meble i pozostałe drobiazgi — rozumie pan, to zachęca do kupna...

— A więc ona miała długi?

— Ho, ho, proszę pana, mnóstwo!...

— A licytacja zapewne je pokryje?

— Ba, nawet przewyższy!

— A komu dostanie się nadwyżka?

— Rodzinie.

— Miała więc rodzinę?

— Zdaje się.

— Dziękuję panu.

Pilnujący skłonił mi się, a ja wyszedłem.

— Biedna dziewczyna — rzekłem, wchodząc do siebie — musiała smutnie umierać, bo w jej stanie przyjaciół ma się tylko wtedy, kiedy się jest zdrową.

Bądź co bądź, litowałem się nad losem Małgorzaty Gautier. Może się to wielu wydawać śmieszne, lecz noszę w sobie niewyczerpane przebaczenie dla prostytutki, a nawet nie zadaję sobie trudu, by poddawać je dyskusji.

Pewnego dnia, idąc po paszport do prefektury policji, spostrzegłem na jednej z przyległych ulic dziewczynę, którą prowadziło dwóch żandarmów. Nie wiem, co zrobiła, lecz widziałem, że płakała gorącymi łzami, tuląc kilkumiesięczne dziecko, z którym przemocą ją rozdzielano. Od tej chwili nie potrafię gardzić kobietą, którą pierwszy raz widzę.

## II

Licytacja była wyznaczona na szesnastego marca.

Zrobiono dzień przerwy między zwiedzaniem a sprzedażą, aby można było zdjąć obicia, firanki, zasłony itd.

Dopiero co powróciłem z podróży. Było to zrozumiałe, że nie zawiadomiono mnie o śmierci Małgorzaty. Była ona piękna, lecz o ile szczególne jej życie robiło wiele wrzawy, o tyle śmierć przeszła niepostrzeżenie. Są to słońca, które zachodzą podobnie jak wschodzą — bez blasku. Śmierć ich, jeśli umierają młode, przebiega przez Paryż w jednej chwili, dowiadują się o niej zaraz jej kochankowie, gdyż w naszej stolicy wszyscy kochankowie jakiejś dziewczyny żyją ze sobą w przyjaźni, zamieniają kilka wspomnień i życie ich płynie dalej, wypadku zaś nie zroszą nawet jedną łzą...

Dzisiaj, kiedy się ma lat dwadzieścia pięć, nie płacze się nad byle czym. Do tego mają prawo tylko krewni, jeśli płacą za łzy...

Co do mnie, chociaż moje inicjały nie znajdowały się na żadnym z kosztownych drobiazgów Małgorzaty, to instynktowne współczucie, ta naturalna litość, do której przed chwilą się przyznałem, kazała mi dumać nad jej śmiercią dłużej, niż może na to zasłużyła.

Przypomniałem sobie, że spotykałem bardzo często Małgorzatę na Polach Elizejskich, gdzie prawie co dzień jeździła w niebieskim powozie, zaprzężonym w dwa piękne konie; zauważyłem w niej elegancję, którą podkreślała jeszcze jej wyjątkowa piękność.

Nieszczęśliwe te osobistości są zawsze w czymś towarzystwie.

Ponieważ żaden mężczyzna nie zgodzi się na publiczne afiszowanie się ze swoją miłością do nich, a one nienawidzą samotności, włączą więc zawsze za sobą albo takie, które, mniej szczęśliwe, nie mają powozu, albo którąkolwiek ze starych

elegantek, nieumiejących ukazać źródła swej elegancji, a do których bez wahania można się udać, jeśli chcemy zaczerpnąć jakichkolwiek wiadomości o kobiecie, której towarzyszą.

Z Małgorzatą jednak rzeczy miały się inaczej. Przybywała ona na Pola Elizejskie zawsze sama w swoim powozie, w którym kryła się jak mogła, w zimie owinięta wielkim kaszmirowym szalem, w lecie ubrana w bardzo skromną suknię — a jeśli spotkała na swym ulubionym spacerze jakiegoś mężczyznę dobrze jej znanego, uśmiechała się do niego w ten sposób, że i księżna mogłaby się tak uśmiechać.

Nie jeździła ciągle, jak to zwykli robić jej koleżanki, po Elizejskich Polach, lecz konie unosiły ją szybko do Lasku Bulońskiego. Tam wysiadała z powozu, spacerowała przez godzinę, po czym wsiadała znów do swego powozu i wracała pędem do siebie.

Wszystkie te okoliczności, których nieraz byłem świadkiem, przypomniały mi się i żałowałem tej dziewczyny, jak się żałuje całkowitego zniszczenia dzieła piękna.

Ponadto nie zdarzyło mi się widzieć bardziej zachwycającej piękności jak u Małgorzaty.

Wysoka i drobna aż do przesady, posiadała w najwyższym stopniu sztukę ukrywania wad naturalnych pod skromnym strojem, jaki zakładała. Jej kaszmirowy szal, którego końce dotykały ziemi, pozwalał z obu stron widzieć ogoniastą, jedwabną suknię, a mufka, w którą chowała ręce, miała tak estetycznie ułożone frędzle, że mogłyby zadowolić najwybredniejszy gust.

Głowa, istny cud, była przedmiotem szczególnego zachwytu. Była ona mała, a natura, jakby powiedział Musset, utworzyła ją z całą starannością.

Włóż w owal nieopisanego wdzięku dwoje czarnych oczu, przykrytych powiekami o tak doskonałym kształcie, że zdawały się być dziełem artysty; przysłoń te oczy długimi rzęsami, które, opuszczone, rzucały cień na różową barwę policzków; nakreśl nos delikatny, prosty a szlachetny, o nozdrzach nieco otwartych, pod wpływem gorącego, zmysłowego oddechu; narysuj regularne usta, których wargi rozkosznie się unosiły nad zębami białymi jak mleko i zabarw skórę kryjącą te wdzięki odrobiną karminu — a będziesz miał całość tej uroczej główki.

Włosy hebanowej czerni i błyszczące z natury — lub nie, jeśli chcecie — dzieliły się nad czołem w dwa bogate zwoje i gubiły się na tyle głowy, pozwalając widzieć koniec ucha, u którego błyszczały dwa brylanty, wartości od czterech do pięciu tysięcy franków każdy.

Jakim sposobem mimo trybu życia Małgorzaty na jej twarzy pozostał wyraz dziewiczości, nawet dzieciństwa, będący jej charakterystycznym znakiem — tego, przynajmniej, nie rozumiem.

Małgorzata miała swój portret, robiony przez Vidala, jedyne go człowieka, którego ołówek mógł oddać jej piękno. Po jej śmierci miałem go przez kilka dni w ręku, a był on tak zadziwiająco podobny, że pomógł mi w skreśleniu jej obrazu, do czego pamięć mi nie wystarczała.

Między szczegółami tego rozdziału niektóre dotarły do mnie dopiero później, lecz spisałem je natychmiast, by nie wracać już do nich w chwili, kiedy rozpocznie się opowieść o jej życiu.

Małgorzata bywała obecna na wszystkich pierwszych przedstawieniach teatralnych i przepędzała swoje wieczory na widowiskach lub balach. Za każdym razem, kiedy grano nową sztukę, można było być pewnym, że się ją zobaczy wraz z trzema rzeczami, które zawsze miała przy sobie i które zajmowały za każdym razem przednią poręcz łoża: lornetka, pudełko cukierków i bukiet kamelii.

Przez dwadzieścia pięć dni miesiąca kamelie były białe, a przez pięć ostatnich — czerwone; nikt nie znał przyczyny tej różnorodności barw, o której wspominam, i nie mógł jej wytłumaczyć, a jednak zauważyli ją wszyscy uczęszczający do teatrów.

Nie widziano nigdy u Małgorzaty innych kwiatów, jak tylko kamelie. Z tego też względu nazywano ją u pani Barion, jej kwiaciarki, „damą kameliową” i ten przydomek jej został.

Tymczasem od blisko trzech lat, od czasu podróży do Bagnères, żyła tylko ze starym cudzoziemskim księciem, nadzwyczaj bogatym, który usiłował wyciągnąć ją z brudów przeszłości, na co ona chętnie przystawała.

Oto, co mi o tym mówiono.

Na wiosnę 1842 roku Małgorzata była tak słaba i tak zmieniona, że lekarze nakazali jej leczenie u wód i wyjazd do Bagnères.

Tam, pośród chorych, znajdowała się córka księcia, która nie tylko cierpiała na tę samą chorobę, ale miała nawet taką samą twarz jak Małgorzata, do tego stopnia, że można by je wziąć za dwie siostry. Tyle że młoda księżna była w trzecim stopniu suchoty i w kilka dni po przybyciu Małgorzaty zmarła.

Pewnego dnia książę, który po śmierci córki pozostał w Bagnères, jak ten, któremu pochowano w ziemi część serca, spostrzegł Małgorzatę na zakręcie jednej alei.

Zdawało mu się, że widzi cień swego dziecięcia. Podeszedłszy do niej, wziął ją za rękę, uściśnął ze łzami w oczach i nie pytając się, kim jest, prosił o pozwolenie odwiedzenia jej i kochania w niej żywego obrazu swej zmarłej córki.

Małgorzata, będąc w Bagnères tylko ze swą pokojową i nie obawiając się kompromitacji, przyzwoliła na to, czego żądał książę.

W Bagnères przebywali ludzie, którzy ją znali — ci więc ostrzegli księcia, informując o profesji panny Gautier. Był to cios dla starca, gdyż tutaj kończyło się podobieństwo do jego córki, lecz już było za późno! Młoda kobieta stała się potrzebą jego serca i jedynym sensem życia.

Nie czynił jej żadnych wyrzutów, nie miał do tego prawa, lecz zapytał ją, czy się czuje zdolna do zmiany życia, ofiarując za to poświęcenie wszelkie rekompensaty, jakich tylko pragnie. Ona przyrzekła.

Trzeba tu zaznaczyć, że natura Małgorzaty, pełna entuzjazmu, także była wówczas chora. Przeszłość wydawała jej się główną przyczyną choroby, a pewien rodzaj przesądu kazał się spodziewać, że Bóg jej zostawi zdrowie i piękność w zamian za pokutę i nawrócenie.

I w rzeczy samej, wody, przechadzki, naturalne zmęczenie, sen — przywróciły jej powoli zdrowie, kiedy lato miało się już ku końcowi.

Książę towarzyszył Małgorzacie do Paryża, gdzie odwiedzał ją podobnie jak w Bagnères.

Związek ten, którego ani istotnego początku, ani powodów nie znano, spowodował wielkie zdumienie, gdyż książę, znany ze swego wielkiego majątku, zaczął być rozrzutny.

Szukano przyczyn tego zbliżenia się starego księcia do młodej kobiety żyjącej w rozpuście, tak częstego zachowania bogatych starców. Przypuszczano wszystko, oprócz tego, co było.

Tymczasem uczucia tego nowego ojca Małgorzaty były tak czyste, że wszelki związek niebędący związkiem serca wydawał mu się zbrodnią i nigdy nie wyrzekł do niej słowa, którego by jego córka nie mogła słyszeć.

Daleka jest od nas myśl idealizowania naszej bohaterki. Przyznajemy więc, że dopóki była w Bagnères, przyrzeczenie dane księciu było łatwe do dotrzymania, lecz kiedy powróciła do Paryża, zdawało się tej dziewczynie przywykłej do gorączkowego życia, do balów, do orgii, że samotność, przerywana tylko cyklicznymi odwiedzinami księcia, zabija ją z nudów, a palący oddech dawniejszego życia ciążył na jej głowie i sercu.

Należy dodać, że Małgorzata wróciła ze swej podróży piękniejsza, niż była przedtem, że miała lat dwadzieścia i że uśpiona, bo ostatecznie niezwyciężona choroba budziła w niej gorączkowe żądze, będące zawsze rezultatem chorób płucnych.

Z wielką więc boleścią ksiązę dowiedział się od swych przyjaciół, szpiegujących młodą kobietę, że ta w chwili, w której nie spodziewa się jego przybycia, przyjmuje wizyty, i że nieraz bardzo się one przedłużają...

Zapytana, Małgorzata wyznała wszystko księciu, radząc mu, by przestał nią się zajmować, ponieważ nie czuje w sobie siły do dotrzymania przyrzeczenia i że nie chce dłużej przyjmować dobrodziejstw od człowieka, którego zdradza.

Ksiązę nie pokazał się przez cały tydzień; było to wszystko, co mógł zrobić. Ósmego dnia przyszedł błagać Małgorzatę, by go przyjęła, obiecując jej, że zaakceptuje ją taką, jaka jest, byle tylko mógł ją widzieć, i przysiągł jej, że nigdy nie będzie jej czynił żadnego wyrzutu.

Oto jak się miały rzeczy trzy miesiące po powrocie Małgorzaty, to jest w listopadzie lub grudniu 1842 roku.

### III

Szesnastego o pierwszej po południu udałem się na ulicę d'Antin. Już w bramie słysząc było głos woźnego.

Mieszkanie było pełne ciekawskich.

Były tutaj wszystkie wytworne dowody jej występnego życia, skrycie oglądane przez kilka wielkich dam, które jeszcze raz przyszły tutaj pod pretekstem kupna, aby zobaczyć z bliska kobiety, z którymi nie miały nigdy sposobności bliższego zetknięcia się, a którym zazdrościły może łatwych przyjemnostek.

Księżna pani de F. trącała pannę A., najsmutniejszy okaz nowoczesnej zalotnicy; pani markiza de F. wahała się, czy kupić jakiś mebel, który licytowała pani D., zalotnica najwytworniejsza i najwięcej znana w naszej epoce; księżę d'Y., który jeździ do Madrytu, by zrujnować się w Paryżu, a do Paryża, by zrujnować się w Madrycie, a który pomimo to nie wydaje nawet swych dochodów, rozmawiał z panną M., jedną z naszych najzdolniejszych powieściopisarek, od czasu do czasu piszącą to, o czym mówi, a która spoglądała znacząco na panią de N., tę piękną kobietę... Można ją zawsze spotkać na Polach Elizejskich, wystrojoną w barwy różowe lub niebieskie, w powozie zaprzężonym w dwa duże kare konie, kupione od Fony'ego za dziesięć tysięcy franków, za które on zapłacił... I jeszcze panna R., która przez swój talent zyskała dwa razy tyle, ile kobiety światowe mają ze swych posagów, a trzy razy tyle, ile inne mają za swą miłość...

Moglibyśmy przytoczyć tutaj szczegóły z życia wielu jeszcze ludzi zgromadzonych w tym salonie i zdziwionych, że znajdują się w swoim towarzystwie — lecz nie chcemy znudzić czytelnika.

Śmiano się głośno; woźni nawoływali o spokój na spółkę z kupcami, którzy chcieli dobrze rzecz przeprowadzić. Nigdy zgromadzenie nie było bardziej rozmaite, bardziej wrzące.

Wcisnąłem się pokornie w tę wrzawę, smutny, myśląc o tym, że się znajduję tuż przy pokoju, w którym wyzionęła ducha biedna istota, a której meble sprzedawano, by spłacić długi. Przyszedłszy raczej, by obserwować, niż kupować, spoglądałem na postać woźnego, którego rysy niezdolnie się wykrzywiały, jeśli cena któregoś z przedmiotów podskoczyła bardziej, aniżeli się spodziewał.

Uczciwi ludzie, spekulujący na prostytucji tej kobiety, którzy zyskiwali na niej sto procent, a ścigali ją stemplowym papierem aż do ostatniej chwili życia, przyszli po śmierci zbierać owoce swej zaszczytnej spekulacji.

Mieli słuszną starożytni, że ustanowili jednego boga dla kupców i złodziei!...

Suknie, kaszmiry, klejnoty sprzedawały się niewiarygodnie szybko. Nic z tych rzeczy mi się nie podobało i ciągle czekałem. Nagle usłyszałem:

— Pięknie oprawiona książka, złożona na brzegach, zatytułowana: *Manon Lescaut*, jest coś napisanego na pierwszej kartce. Dziesięć franków!

— Dwanaście — odezwał się ktoś po długim milczeniu.

— Piętnaście — rzekłem. Dlaczego? Nie wiedziałem. Zapewne dlatego, że było tam „coś napisane”.

— Piętnaście — powtórzył woźny.

— Trzydzieści — ciągnął pierwszy licytant głosem, w którym brzmiało przekonanie, że nikt nie da więcej.

Rozpoczęła się walka.

— Trzydzieści pięć! — zawołałem tym samym tonem.

— Czterdzieści!

— Pięćdziesiąt!

— Sześćdziesiąt!

— Sto!

Przyznaję, że chciałem wywołać efekt i wywołałem, gdyż po ostatniej cenie zapanowała cisza i patrzono na mnie z ciekawością, kim jest ten jegomość, który postanowił bądź co bądź posiadać tę książkę.

Zdaje się, że ton nadany ostatnim moim słowom przekonał mego przeciwnika — postanowił więc ustąpić z pola, zostawiając mi książkę, za którą płaciłem dziesięć razy więcej, niż była warta. Kłaniając mi się, rzekł bardzo grzecznie, choć trochę za późno:

— Ustępuję panu.

Nikt nie wyrzekł słowa i książka trafiła do mnie.